

Agnieszka Nowicka

Rozdział 1

Copyright © 2026 by Agnieszka Nowicka

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored, or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording, scanning, or otherwise without written permission from the publisher. It is illegal to copy this book, post it to a website, or distribute it by any other means without permission.

First edition

This book was professionally typeset on Reedsy

Find out more at reedsy.com

Contents

Rozdział 1

Rozdział 1

Nie wiem, czy każdy ma miejsce, które naprawdę może nazwać domem. Ja mam. Greenville w Pensylwanii. I cholernie boli mnie już sama myśl, że niedługo je opuszczę. Pewnie przeciętny mieszkaniec Nowego Jorku nawet o nim nie słyszał, ale dla mnie... dla mnie to cały świat.

Każda pora roku pachnie tu inaczej.

Wiosną — deszczem i mokrą ziemią.

Latem — świeżo skoszoną trawą i lodami truskawkowymi.

Jesienią — cynamonkami z kuchni pani Bradshaw.

A zimą... zimą pachnie dzieciństwem. Grzanymi jabłkami. Skrzypiącym śniegiem pod butami. Kakao, które mama codziennie robiła mi przed snem.

Znam tutaj każdy skrót i każdą starą deskę w parku. Wiem, która ławka trzeszczy, a która ma wygrawerowane serce z inicjałami J.T. + M.K. — których historia miłości trwała równe trzy tygodnie, ale nikt nigdy nie odważył się tego zetrzeć.

A dom, który tak kocham jest biały, z szarą werandą, która pachnie drewnem i latem. Skrzypiące schody wiodą na górę, gdzie mam swój pokój. Ich dźwięk jest jak nasze własne tło muzyczne — codzienny koncert starych desek, które tata kiedyś próbował naprawić, ale finalnie się poddał. Ja tam się z

tę cieszę, lubię ten dźwięk, tak samo jak krzywizny drewnianych balustrad i plecione lampiony, które wieczorami rozświetlają naszą werandę.

Wiklinowe fotele z poduszkami w ciepłych kolorach stoją przy niskim stoliku, na którym zawsze znajdzie się miejsce na filiżankę herbaty, książkę albo bukiet świeżych ziół. Zielone pnącza oplatają belki nad głową, a latem rosną tak bujnie, że weranda niemal stapia się z ogrodem.

Wokół domu kwitnie niemalże wszystko — dzikie róże przy płocie, lawenda przy schodach, mięta, która wymyka się z doniczek i rozsiewa między kamieniami. Kamienna ścieżka prowadzi od furtki aż na tyły domu, gdzie latem wieszamy lampiony między pergolami porośniętymi różami.

Za domem jest królestwo mamy — nasz ogródek, trochę dziki, trochę nieuporządkowany, taki, który kocham najbardziej. Pod pergolą oplecioną winoroślą stoi palenisko, kilka drewnianych krzeseł i stara skrzynia, w której trzymamy koce. Gdy wiatr przemyka między gałęziami, ogród szepcze. O lecie. O dzieciństwie. O wszystkim, co nie powinno się kończyć.

Chyba tak bardzo przywiązałam się do tego miasteczka, bo jest niewielkie. Ludzie znają cię po imieniu, zanim jeszcze sam nauczysz się pisać swoje. To miejsce, gdzie bibliotekarka pamięta, że lubisz thrillery i odkłada ci wszystkie nowości, a kasjerka w sklepie wie, że nieważne na jaki smak lodów patrzysz i tak weźmiesz te o smaku słonego karmelu.

Wiem, że nigdzie nie będę się czuła tak, jak tutaj. Ale wiem też, że coś się kiedyś kończy, coś zaczyna. A dla mnie niedługo zacznie się przygoda z Yale, o którym marzyłam już od dzieciństwa. Nie przypuszczałam, że uda mi się tam dostać, a jednak moje marzenie się ziściło.

Odkąd pamiętam mama zawsze we mnie wierzyła. Mówiła, że jak postawię sobie cel i będę wytrwale pracować, to osiągnę wszystko, o czym marzę. Wiedziała jednak, że jestem niespokojną duszą, że nie potrafię długo usiedzieć w miejscu. I dlatego właśnie wiem, że chociaż kocham Greenville całym moim sercem, to poza tym miasteczkiem czeka na mnie zupełnie inne życie — nieprzewidywalne, tajemnicze, trochę nie moje — a jednak całkowicie dla mnie. Kocham to, co mam tu i teraz, ale już nie mogę się doczekać, co czeka na mnie w Yale.

Pamiętam dzień, kiedy przyszedł list akceptacyjny. Mama zaczęła płakać, zanim go otworzyłam. Powtarzała tylko “Wiedziałam, że ci się uda.” A potem upiekła moją ulubioną szarlotkę, żeby to uczcić.

Tata przeczytał list dwa razy. Nie powiedział nic, tylko pokiwał głową — jakby to była najmniej zaskakująca rzecz na świecie. Następnego dnia wrócił z nową walizką. I wiem, że to był jego sposób, by pokazać, jaki jest ze mnie dumny.

Moi rodzice nigdy nie byli dla mnie tylko rodzicami, wiedziałam, że są przede wszystkim moimi przyjaciółmi. Zawsze będę im wdzięczna, że wierzyli w moje możliwości i marzenia. Nigdy we mnie nie zwątpili, nigdy mnie nie

ograniczali, pozwalali mi być, tym kim tylko zechcę. Oni wiedzieli, że marzę o czymś więcej niż miejscowy Thiel College. Wiedzieli, że moje serce wyrывa się gdzieś dalej.

Wygrzebałam się z łóżka i tym samym ze wszystkich wspomnień, które ostatnio siedziały mi w głowie, jak nieproszony gość. Bosymi stopami zbiegłam po schodach. Miałam na sobie rozciągniętą koszulkę z wielkim, spranym napisem “Big Time Rush” i za duże bawełniane spodenki, które kiedyś były spodniami od piżamy, ale straciły ten status mniej więcej w gimnazjum. Włosy krzyczały dzisiaj o pomstę do nieba, związane naprędce w coś pomiędzy kokiem, a luźnym kucykiem.

Kuchnia pachnie jabłkami, cynamonem i... sobotnim spokojem. Takim, który znałam od dziecka. Światło wpada przez szerokie okno nad zlewem, rozlewając ciepło po glinianych donicach z bazylią i miętą, które mama nazwała swoimi zielonymi dziećmi. W centrum kuchni stoi duży dębowy stół z niedopasowanymi krzesłami — każde z innego materiału, ale razem wyglądają tak, jakby się znały od lat. W kącie stoi komoda z popękany lakierem i filiżankami w kwiaty, a na podłodze ten sam orientalny dywan, który jest tu chyba od zawsze.

Mama już siedzi przy stole. Ma na sobie bawełnianą sukienkę w drobne kwiatki. Włosy ma spięte spinką w kształcie liścia. Przegląda swoją ukochaną gazetkę ogrodniczą, a obok niej paruje zielona herbata w kubku z

ręcznie malowanymi fiołkami. Na kuchence powoli bulgocze owsianka.

Sięgam po kubek w serduszka i nalewam sobie kawy.

— Wstałaś wcześniej niż zwykle — mówi bez podnoszenia wzroku znad artykułu “10 sposobów, by hortensje mówiły do ciebie po francusku”.

— Nie mogłam spać — mruczę pod nosem siadając naprzeciwko i podciągając nogi pod brodę. — Myślałam o wszystkim.

Spojrzała na mnie kątem oka, ale nic nie powiedziała. Wzrok uciekł mi w stronę okna. Udawałam, że widzę coś fascynującego w porannej mgle, ale tak naprawdę nie chciałam, żeby zobaczyła, jak łzy zbierają się w kącikach oczu. W gardle już czułam znajome szczypanie.

Mama odłożyła gazetę i z namaszczeniem zamieszała owsiankę, po czym postawiła garnek na stole i bez słowa rozlała porcje do dwóch misek. Usiadła z powrotem i sięgnęła po łyżkę.

— Jadłaś coś wczoraj — spytała.

Doskonale wiedziała, że nawet nie zeszłam wczoraj do kuchni.

— Zapomniałam.

Uniosła brew.

— Skarbie musisz jeść. Jak mam się o ciebie nie martwić.

— Nie umrę z głodu. Patrz już jem śniadanie — rzuciłam z udawanym luzem, ładując sobie do buzi pełną łyżkę i szczerząc zęby.

Ale ona się nie uśmiechnęła. Spojrzała na mnie dokładnie tak, jak wtedy, gdy przyszedłam do niej cała poobijana, kiedy uczyłam się jeździć na rolkach.

— Ja wiem, że dasz sobie radę — powiedziała cicho. — Ja po prostu będę tęsknić za moją małą córeczką.

W gardle zrobiła mi się gęstwa, twarda jak kamień.

— Też będę tęsknić — przyznałam.

Kiwnęła powoli głową. Położyła dłoń na mojej, jej palce były chłodne, ale uścisk miała silny. Mama nie była typem osoby, która tuliła mnie co pięć minut. Ale zawsze wiedziałam, że bardzo mnie kocha.

Złapałam ponownie za łyżkę. Owsianka zdążyła już przestygnąć, zrobiła się zbyt gęsta, ale i tak zjadłam ją ze smakiem. Mama wróciła do wertowania gazety, ale co chwilę przesuwała palcem po marginesie, jakby czegoś szukała. Siedziałyśmy jeszcze chwilę w ciszy, która była miękka jak mgła o poranku. W ciszy, która nie potrzebowała słów.